

## WSPÓLNOTA W CIEMNOŚCI

Twórczość komediowa Michała Bałuckiego wydaje się być określona bez reszty tradycją teatralną, z jaką związane zostały realizacje. Wiek dziewiętnasty miał się wtedy ku końcowi, minęła już epoka burz i dramatycznych społeczno-narodowych wzlotów. Co więc pozostało mieszczaństwu, które chciało należeć do czołówki w społecznej reprezentacji narodowej? Bezlitosne pióro Bałuckiego obnażało te właśnie alternatywy społecznych postaw i życiowych sensów, jakie były wówczas praktykowane. Śmiech musiał brzmieć zjadliwie i pouczająco. Po odzyskaniu niepodległości ten śmiech mógł być już nieco beztroski. Wobec obrazów Bałuckiego mogło pojawić się trochę dystansu. W tym śmiechu była świadomość, że bawimy się sprawami, które odchodzą w przeszłość i najlepszym wzorem dla teatralnej realizacji była komedia z leżką. Rzeczywistość jego sztuk potrzebowała otoczki oroków i prosiła się choćby o odrobinę sentymentu. Po 1945 roku, w okresie wielkich społecznych transformacji komedie Bałuckiego, ich rzeczywistość stawała się z wolna macecznikiem, który jeśli nawiązywał w czymś do dnia bieżącego to poprzez wskazywanie na relikty, które trzeba wyśmiać do dna. Był to więc już świat zamknięty raz na zawsze jak gabinet osobliwości. I powoływanie tego świata na scenie przywoływało świadomość odległości, jaka widzów od niego dzieliła. Im ten dystans większy, tym większą miało się satysfakcję i poczucie sukcesu. Kariera sztuk Bałuckiego budowana więc była na teatralnej karykaturze, a bohaterowie, ich portrety psychologiczne podlegały całkowitej infantylizacji. Jeśli było o czym mówić

przy okazji realizacji jego sztuk, jeśli stawały się wydarzeniem teatralnym, to była to już wyłącznie sprawa formy, indywidualnego talentu i cyzelerskiego aktorskiego i reżyserskiego. Przypomniana niedawno w TV realizacja „Grubych ryb” Bałuckiego z lat sześćdziesiątych jest chyba dobrym przykładem tego, co stało się z tym, co kiedyś było żywe, dotkliwe, bolesne, co rzecz jasna jest procesem naturalnym i zrozumiałym.

Można by powiedzieć, że sztuka jest już tylko igraszką formy teatralnej, że teatr przywraca jej życie magią swej estetyki. Te dość krańcowe w swym sensie uwagi zdają się być punktem wyjścia dla pewnej artystycznej prowokacji, jaką stał się wystawiony w Teatrze Nowym „Dom otwarty” Bałuckiego w reżyserii Janusza Nyczaka. Do rewelatorskich zamierzeń i pokuszeń przynajmniej się zresztą Teatr Nowy od razu w programie. Nie ukrywa się ochoty do zerwania z całym bagażem teatralnej tradycji, a mówiąc wprost ze stereotypem realizatorskim czy samograjem komediowym, jakim sztuką Bałuckiego się stały. A pamiętajmy, że nie bardziej karkołomnego niż walka z tradycją teatralną, która ma, że tak to określe, głębokie wsparcie historycznych procesów, choćby już była skostniała, choćby była jedynie maszynką do wytwarzania śmiechu. Muszę się też przyznać, że z pewnym wzruszeniem oczekiwałem powrotu do Teatru Nowego Janusza Nyczaka, który zapisał kilka zapamiętanych kart w mijającym właśnie ostatnio dziesięcioleciu tego teatru. Czy więc powrót był udany? Czy znalazł Nyczak w materiale sztuki uzasadnienie dla pokus, które go ożywiały? Myślę, że

tak. Potrafił w sztuce, wydawałoby się tak rozpoznanej, doszukać się aspektów dotąd teatralnie niewyaccentowanych i to bez jakichś interwencji inscenizacyjnych, lecz w sposób bardzo precyzyjny wydobywając pewne relacje określające postacie, sytuacje w jakiej występują i ewolucję, jakiej podlegają. Rzecz więc zależała przede wszystkim od aktorskich ukształtowań postaci. I właściwie tylko część druga obejmująca bal stała się obszarem pewnych działań inscenizacyjnych, co dawało podstawę, aby znajdować związki z „Operetką” Gombrowicza czy mówić o nieustającym „polskim weselu” na cześć nie spełnionych nigdy do końca życzeń, którego poczynając od prowadzący Wyspiańskiego, doszukujemy się w literaturze aż po tę naszą jak najbardziej współczesną. Trochę inaczej jednak patrzyłbym na to, co pozwoliło tak odświeżająco ukazać widzowi losy i perypetie bohaterów tej komedii. Dla mnie najważniejsza sprawa to zbudowanie mikro-struktury rodzinno-towarzyskiej z tak celnym uwyrażeniem procesu ewolucyjnego, jakiemu podlega, przemiany, jaka się w tej ludzkiej rzeczywistości dokonuje na przestrzeni trzech kolejnych etapów. Ta rzeczywistość budowana jest w oparciu o wymogi poetyki realistycznej. Bal dzielący ją na dwie różne części zdaje się być rodzajem złowieszczej chimery uwodzącej różnymi znaczeniami i sensami, wspartej na najbardziej rudymenarnych ludzkich pragnieniach i potrzebach — aż po te żywoły rozmaitych kalkulacji, wyobrażeń o sobie i świecie, sił na polity satanicznych. Ale mimo tego nie tyle nośność interpretacyjna tej części samej w sobie ma znaczenie decydujące, co traktowanie jej jako tego co pozwala spełniać rzeczywistość poprzez nierozdzielność dwóch pojęć ładu i chaosu. I tak, zaczyna się przedstawienie od ładu, ale nie wspartego na relacjach ludzkich, w które by ludzie wie-



„Dom otwarty” Michała Bałuckiego w Teatrze Nowym w Poznaniu. Fot. Romuald Zielażek